NAD POZIOMY

ROK V. STYCZEŃ 1936 r. Nr. 4.

Miesięcznik szkół średnich w Chrzanowie.

„Młodości,
ty nad poziomy wylatuj!"

A. Mickiewicz.

CENA 25 gr.

[illegible]

NAD POZIOMY

ROK V. STYCZEŃ 1936 r Nr. 4.

Miesięcznik szkół średnich w Chrzanowie.

Administr.: **Stan. Prokop.** Redaktor Odpow **Prof. Dr. Z. Krawczyński** Redaktor Nacz. **Stan Janikowski**

Kochanemu Opiekunowi naszego pisemka, Redaktorowi Odpowiedzialnemu, Prof. Drowi. Zdzisławowi Krawczyńskiemu w dowód pamięci, z okazji zbliżających się Imienin, niniejszy Numer poświęca

REDAKCJA.

Promyk.

Promień złocisty bawi się wesoło,
W kryształkach śniegu figlarnie się skrzy.
Radość i piękno rozlewa wokoło
I przypomina cudne życia sny.

Przeczyste płatki zmrożonego śniegu
W promyku słońca w barwach tęczy lśnią...
A stare wierzby, tam, w długim szeregu
Śnieżnym całunem przytulone śnią.

Promyk maleńką igrał tylko chwilę.
Lecz wiele szczęścia przyniósł promień ten:
Świat się przez łzy uśmiechnął tak mile,
Że ja myślałem, że to tylko sen.

Janowicz.

Od Bałtyku do Morza Czarnego.

(Ciąg dalszy).

Witano nas z wielkim entuzjazmem. Kilku tysięczny tłum mieszkańców miasta falował na brzegu jak niespokojne morze przed burzą — każdy chciał bliżej przypatrzyć się „polskim śmiałkom“.

Co chwilę rozbrzmiewały gromkie okrzyki „Triasca Polonia“.[1]

Po powitaniu w uroczystym pochodzie na czele z orkiestrą ruszyliśmy do miasta, gdzie władze tamtejsze wydały wspaniały bankiet.

Ja ponieważ jechałem w mundurze harcerza polskiego zaraz miałem naokoło siebie zastępy „cercetasi rumuńskich“.[2] Byłem przez nich rozrywany i oglądany ze wszystkich stron Kilku z nich znało język niemiecki, więc mogliśmy się ze sobą porozumieć. I „Pioner“ był zadowolony z naszej znajomości. gdyż „cercetase“ szczególniej darzyli go opieką.

Chwilami tak byli ciekawi, że musiałem przed nimi się chować, gdyż albo prosili o polskie odznaki albo o autografy, a nawet wyciągali mnie co chwile do wspólnych zdjęć.

Nie dziwię się im jednak.

Widząc jedynego polskiego harcerza w tym spływie, każdy chciał się parę słów zapytać o polskich „cercetasy“, o Zlot w Spale. o przygody w drodze i o pierwsze wrażenia z Rumunji a nakoniec uzyskać kilka odznak i pamiątek polskich.

Na drugi dzień o godz. 7mej ruszyliśmy w dalszą drogę. żegnając serdecznie i dziękując gospodarzom za tak wspaniałe przyjęcie.

Znów 100 łodzi wyciągniętych sznurem oddalało się coraz więcej od Ojczyzny, dążąc do Morza Czarnego, przypominając niejako światu, że Polska ongiś była wielką potęgą od morza do morza.

Dzień był piękny.

Potężny Apollo rozpuścił swe konie u złotego rydwanu upajając się gorącemi promieniami słońca. Na lazurowem niebie nie było ani jednej chmurki, jedynie lekki „zefirek“ usiłował orzeźwić ociężały i zaspały świat.

Takie gorąco odbierało nam siły w wiosłowaniu.

Łodzie z rozwiniętemi żaglami sunęły powoli po gładkiej tafli wody, pchane słabym wiaterkiem.

Nasz smukły „Pionier“ pod śnieżno-białym „grotem[3]“, płynął majestatycznie „lewym halsem[4]“ wioząc ociężałych z gorąca wioślaży, wspartych o „relingi“[5].

Dzień ten był jak gdyby odpoczynkiem po poprzednim pełnym trudów, zmagań i pokonywań przeszkód.

Teraz Prut schował częściowo swe ostre „pazury“ tu ucieszę najbiedniejszych, nie stwarzając już niebezpieczuych mielizn i szypotów. Można więc śmiało powiedzieć, że od źródeł do Czerniowiec jest on rzeką bardzo trudną, lecz malowniczą i pełną uroku.

Po ośmiu godzinach takiej jazdy, przybyliśmy do miasteczka Sulita położonem na lewym brzegu Prutu.

Tu kończył się nasz drugi etap.

Mieszkańcy wystawili nam powitalną bramę z napisem.

„Niech zie Polska“.

„Niech zie Rumunja“.

Napis ten rozśmieszał nas ogromnie, gdyż miał oznaczać

„Niech żyje Polska“!

„Niech żyje Rumunja“!

Witali nas jednak jak umieli.

Nie obeszło się również bez triumfalnego pochodu na czele z dość dobrą orkiestrą. Pochód przemaszerował przez pryncypalne ulice miasta.

W pierwszym szeregu postępował nasz komandor spływu pułkownik M. ubrany „prosto z kajaka“, a więc w krótkich spodenkach i koszulce, po bokach zaś towarzyszyły mu dwie piękności rumuńskie, wytwornie ubrane. Za nimi kroczyły dwie nasze wioślarki w kusych strojach, prowadząc pod ręce burmistrza w eleganckim fraku.

---

1. Niech żyje Polska. 2. Harcerzy rumuńskich. 3. Środkowy żagiel. 4, Łudź przechylona na prawą stronę. 5. Górna krawędź składaka.

Dalej maszerowali spływowicze, zmieszani z mieszkańcami miasteczka.

Kapitalny był to widok, zdaje się jedyny w swoim rodzaju.

Kolacja odbyła się pod gołem niebem, na brzegu Prutu, niedaleko namiotów. Poznoszono tu specjalnie z całego miasteczka stoły i ławki i ustawiono nad brzegiem, bowiem nie chciano męczyć spływowiczów przyjęciem w mieście, aby później nie musieli wracać po omacku do obozu.

Ku ogólnej uciesze podano do stołów smażone kurczęta.

Porządnie wygłodniali pałaszowaliśmy je aż radość, nie przypuszczając jak te ptaszęta mścić się będą na nas całą drogę aż do słonych wód Morza Czarnego.

Sulita słynie w całej Rumunji z hodowli kurcząt, które masowo eksportuje się stąd za granicę.

Na drugi dzień rano, zupełnie wypoczęci ruszyliśmy dalej, obdarzeni pokaźnemi paczkami z żywnością.

Poza winogronami, pomidorami, morelami i serem znalazł się w każdej paczce smarzony kurczak.

c. d. n

Witold Marjan Myczkowski

Wyścig z burzą.

Ze wspomnień cyklisty.

O piątej popołudniu przybyłem do Czorsztyna.

Dotychczas sprzyjała mi pogoda; lecz skoro tylko zaciągnąłem rower na szczyt czorsztyńskiej góry, zebrały się od strony Tatr i Pienin z zastraszającą chyżością, potworne czarne chmury i w powietrzu zawisnęła burza podhalańska.

Przez chwil parę namyślałem się co mam uczynić. Wracać do gospody niema idei, bo jakże potem pojadę dalej, gdy się zrobi błoto ohydne?

Do Krościenka miałem stąd 9 kilometrów, ale zato ciągle w dół. Zdecydowałem się szybko na wyścig z chmurami, ja, co już miałem na sumieniu niejeden wyścig z pociągami!

Obejrzałem się jeszcze w stronę doliny nowotarskiej. — Wyglądała jak dolina Jozafata w dniu sądu ostatecznego! Noc krótkotrwała, lecz straszna ogarniała ją zewsząd; chmury czarne jak sadza i jak morze wypełniające wszystkie obszary, zwieszały się nad nią na podobieństwo zasłon, z poza których miał wybuchnąć i lunąć na ziemię jakiś ogień piekielny, rzęsny deszcz i grad ogromny.

Tylko daleko, daleko hen na zachodzie błyszczał jeszcze w słońcu wierzchołek Babiej góry i podwójna tęcza łączyła Dunajec z Orawą. Tatry i Pieniny zniknęły, jakby zatracone na wieki.

Nie było czasu do podziwiania obrazu. Pierwsze wielkie krople zaczęły padać.

Wsiadam błyskawicznie na maszynę i zaczyna się jazda, co się zowie. Puściłem wolnobieg i nie hamuję ani trochę. Proszę sobie wyobrazić dosyć stromy spadek gościńca i ruch ciągle przyspieszony roweru. W minucie osiągnąłem już wprost zawrotną szybkość!

Gościniec był na szczęście zupełnie pusty. Drzewa, słupy telegrafu, kupy kamieni, poręcze, mostki, wszystko to, pomieszane chaotycznie, leci w tył z jakąś zaciekłością, gościniec na podobieństwo rwącej rzeki ucieka i wali się jakby na mnie. . . . .

Na zakrętach siła odśrodkowa odrzuca mnie na sam brzeg gościńca, poczem znów uka-

Złote myśli.

Kto patrzał z młodu na gór sine szczyty
Każdy się skały widokiem rozczuli
Uściskiem duszy jej twarde granity
Jak przyjaciela do serca przytuli.

Byron.

zuje się równa linja, malejąca z każdą sekundą. I tak bezustannie skręt i równia, skręt i równia.

W głowie zawrót i odurzenie rozkoszne, na twarzy wiatr rzeźwy, w piersiach jakby lekkie świerzbienie...

Przytem niesłychana żądza pożerania przestrzeni...

Jeszcze prędzej, jeszcze! Naprzód! W dół!

Pierwsze krople deszczu ustały padać!

Zaczerniło się coś na drodze.

Dzwonię na gwałt i wtejże chwili jestem już w środku bandy cyganów, która się błyskawicznie rozprysła na brzegi gościńca.

Słyszę jakieś przekleństwa za sobą — w parę sekund znów cisza, tylko huczą równo rozpędzone koła.,.

Rozległ się pierwszy grzmot, lecz gdzieś daleko w tyle nad Czorsztynem; potem już grzmiało raz po razu.

Ale ja gwiżdżę na to, bo oto dojeżdżam już do Krościenka. Zaczynam zwolna naciskać kontrhamulec i w parę minut jestem w miasteczku.

Ledwo stanąłem, zaczęły w okół mnie spadać pierwsze, wielkie krople deszczu......

Chwile zadumy.

Nie mów nigdy minęło!

Co minęło?

Nic nie mija bez śladu. Gdziekolwiek idziemy, i staniemy strudzeni, padają z naszych rąk ziarna — dobre i złe. I te ziarna mają siłę życia.. Z nich budzą się nowe myśli, porywy, uczucia i czyny. Wszystko żyje i trwa i naprzód idzie z mocą tajemną a nieoczekiwaną. Kto o tem pamięta, pójdzie ku słońcu z otuchą radosną i nigdy nie podda się rozpaczy.

Cóż szkodzi, że uschnie i zwiędnie niejedna nadzieja i owoców upragnionych nie przyniesie? My dzieci tej ziemi, wszyscy bez wyjątku pić musimy z kielicha rozczarowań.

Z głęboką nadzieją, i mądrym uśmiechem rozwagi idźmy drogą, którą nam Bóg przeznaczył.

Niech to, cośmy mogli osiągnąć i zdobyć raduje nasze serce!

A jeżeli owoc naszych trudów będzie tak słaby, że go oczyma ujrzeć, i rękoma objąć nie możemy, wówczas powiedzmy swej duszy:

Zwykle to, co najlepszą jest cząstką człowieka, spoczywa w ukryciu. Zupełnego zadowolenia nikt nie znajdzie na ziemi. Dopiero, gdy powieki zmróżymy, zaświeci nam ono w całym przeczystym blasku, wysoko nad gwiazdami!

Z. Łysakowska.

„Zbójcy”.

W 130 rocznicę śmierci znakomitego poety niemieckiego Gimnazjum nasze, a wszczególności VII b klasa postanowiła wystawić jeden z jego licznych dramatów. Wybrano bodaj, że najtrudniejszą tragedję „Räuber“. Warto wspomnieć choćby kilka słów o autorze. Johann Christoph Friedrich Schiller urodził się w Mlarbach w r 1759 studjował prawo w Stuttgarcie, pierwsze utwory w okresie „Sturm und Drang“ pisze pod wpływem Goethego, Szekspira, Plutarcha i Rousseau. Już w roku 1780 wydaje swój pierwszy dramat: „Räuber“, który zdecydował o jego słowie poetyckiej. Siłą namiętności, duchem wolnościowym, ciętością satyry politycznej i geljalnem opanowa-

Złote myśli.

Nikogo, mówią nie słuchaj, jedynie,
Własnego serca, jeśli serce swoje
Umiałeś życiem zamienić w świątynię,
W której się ciszą stają niepokoje życia.

J. Kasprowicz.

niem środków scenicznych utwór ten wybił się na czoło w poezji dramatycznej tego czasu. Potem Schiller przenosi się do Mlannheimu, Lipska, gdzie pisze: „Kabale und Liebe" "Don Karlos". W roku 1788 zostaje powołany za nadzwyczajnego profesora historji, do Jeny i tu wydaje szeregi rozpraw historycznych oraz poświęca się studjom nad filozofją Kanta, co silnie wpływa na jego estetyczny i etyczny pogląd na świat i dalszą twórczość. Tutaj ukazuje się większość ballad, w którvch stworzył nowy typ poetyckiej opowieści, oraz liryki. Tu wykończa „Wallensteina" pisze „Jungfrau von Orleans" pogłębia zagadnienie stosunku winy i kary, coraz więcej zbliża się do tragedji autycznej. ale zarazem ulega wpływowi romantyzmu. Pisze "Brant von Mlessina „ przekłada Racine'a, Szekspira.

Twórczość Schillera odznacza się tężyzną namiętności niewzruszoną postawą moralną, siłą abstrakcyjnie uchwytnej myśli, mistrzostwem dramatycznego napięcia zwłaszcza zaś niezrównanym idealizmem poglądu na świat. Umysłowość Schillera była raczej dedyktywna, niż indyktywna, w wyobraźni jego przeważał czynnik konstruktywny nad obserwacyjnym, który wszakże rozwijał się w okresie dojrzałości, zwłaszcza pod wpływem Goethego.

„Zbójcy" pierwszy raz w Polsce były wystawione w przekładzie Mlichata Budzyńskiego w teatrze warszawskim w r. 1803.



Fot. E. Krzysztoforski.

Było pewnego rodzaju bohaterstwem wystawić tak trudną sztukę na scenie amatorskiej, niemniej jednak Koledzy wywiązali się ze swego zadania znakomicie; grali nie tylko trzy razy w Chrzanowie, ale i w Trzebini, Jaworznie, Sierszy Krzeszowicach wszędzie zyskując należne uznanie

Nader trudną rolę Franciszka Moora odegrał p. Sikora, zarazem reżyser całej sztuki, dla którego talentu jesteśmy pełni podziwu.

Rolę Maksimiljana Moora, ojca objął p. Maksymowicz.

Karola grał p. Trytko który swojem majestatycznym głosem, a pełnym powagi stworzył pierszorzędną kreację szlachetnego herszta zbójców.

W roli Amalji ofiary intrygi i nieszczęśliwej miłości przesunęła się przez scenę p. Janikowska.

Zbiorowe sceny, bodaj że zawsze najtrudniejsze wypadły bez zarzutu. Zbójcy czuli się jak u siebie w domu.

Kierownictwo artystyczne prof. Dra. Z. Krawczyńskiego.

Janowicz.

Złote myśli.

Piękność nad każdym nieszczęściem łzy leje
Nad sióstr upadkiem... tylko się śmieje.

Byron.

Podziękowanie

Uczniowie Gimn. Męskiego w Chrzanowie składają podziękowania W. P. insp. Wł. Zechenterowi w Jaworznie W. P. prokurentowi Chorowiczowi p. Długoszowi, p. Borfusowi w Sierszy W. P. Kulczyckiemu w Krzeszowicach za łaskawą pomoc i przychylne ustosunkowanie się w urządzeniu przedstawienia p. t. „Zbójcy“ w danych miejscowościach.

„Co może Sofokles“?

Pewnej nocy śniło mi się wprost coś strasznego . . . Otóż stale jeszcze jestem pod wrażeniem „Antygony“ i „Króla Edypa“. Sofoklesa. Myślę o tem nietylko w pociągu gdy, przerzucam kartki książki, by się jeszcze czegoś nauczyć, lecz gdy zasypiam to powtarzam jeszcze pieśń chóru mężów tebańskich, by na drugi dzień w „szkole“ coś odpowiedzieć.

A teraz . . . zanoszę prośby w imieniu koleżanek do „władzy“ z zapytaniem, czy nie dałoby się usunąć Sofoklesa, w celu uniknięcia tego, co mnie spotkało.

Zaczynam . . . .

Nad szóstą klasą za dawne popełnione przewinienia zaciążył gniew bogów . . .

Pewnego zimowego poranka gdy biały śnieg całunem okrył ziemię i skrzył się w promieniach wschodzącego słońca, zaczyna się nasza tragedja.

Na pierwszej godzinie była łacina. Czytałyśmy coś o Orfeuszu i Eurydyce „in guam vipêra calcáta venénum diffûdit“ — a tłumaczenie „ani rusz“. Nawet Krzysia „specjalistka od tego martwego języka“ nie potrafiła odmieniać tak popularnego słowa almo, almere, ani też druga łacinniczka Jasia z Jaworzna, nie wiedziała jak się tworzy od tego „porticipium perfecti“! Cóż dopiero my — zwykłe śmiertelniczki . . . . .

Stała się rzecz straszna, lecz przewidziana. „Dwója“ !!! — tego słowa obawiamy się więcej niż „iść do kancelarji na awanturę“.

Dwie koleżanki powiesiły się na lampie w naszych oczach, a nieszczęśliwi rodzice z rozpaczy, połknęli wszystkie łacińskie zeszyty swych córeczek.

Na matematyce, nawet te sławne celerki Tusia i Wisia (siostry sjamskie) nie mogły rozwiązać tak trudnego zadania „1+1“. A następstwa . . . szkoda mówić.

Obie bohaterki z obawy i pełne strasznych przeczuć zaczęły płakać, a ten pan profesor, o anielskiej cierpliwości, którego tak szanuję, jedynym w klasie kałamarzem zalał im oczy. „Dwója“ . . .

A na niemieckiem . . . jeszcze nie było obowiązkowego : „Meine schöne Damen, bitte die Bücher zu machen“ . . . a szyby wylatują z okien i kule śniegowe całą klasę pozbawiają uroku. Na nic cała praca Zosi nad ozdobą klasy, na nic wspinanie „Stasiowej Siwulki“ po stołach w celu przybicia obrazków. Klasa VI ta przestała istnieć, błąka się gdzieś, nie mogąc trafić do domów.

Nagle czuję, że ktoś polewa mnie zimną wodą . . . przecieram oczy . . . jestem w swoim pokoju, a służąca nie przestaje mnie szarpać.

„Panienko — proszę wstać — a dyć już późno. Pani mi kazała polać panienkę — prędzej! — bo nie mogłam się dobudzić“ . . .

Zrywam się z łóżka mokra i gorąca — pomimo orzeźwiającej kąpieli. . . .

Chwała Bogu, że to był tylko sen, w każdym razie Sofoklesa nie wezmę więcej do ręki.

Janina Proskowiecka.

Złote myśli.

Chcesz zbadać potęgę człowieka
Zaglądnij do jego serca.

Janowicz.

Fotografja amatorska.

Jedna, króciutka chwila. Moment. Błysk spojrzenia.
Już. Zda się nie. Zabawa. A jednak — widzicie?
Na zawsze zatrzymany ułamek istnienia,
Na zawsze pochwycone w biegu czyjeś życie.

Coś, co było naprawdę, przeszło i nie wróci...
Uśmiech, gest, znak, wesołość, beztroska młodości....
A jednak. Jakże czasem jeszcze się zasmuci.
Gdy spojrzym na ten okruch minionej przeszłości!

Miną lata. I przyjdzie moment takiej chwili,
Gdy cicho się uchyli lat minionych wieki —
Nad zbladłą fotografją głowa się pochyli
I myśl w przeszłość popłynie — minioną... daleką

W. Piet.

Wycieczka w zimie.

Dzień był cudny . . . zimowy.

Parę dziewczynek pod zwierzchnictwem najlepszej pod słońcem nauczycielki pani Alinki, wybrało się na jedno - dniową wycieczkę. Długo szły ubitą drogą, dążąc stale w kierunku półn.-wschodnim, a tyle miały animuszu, tyle humoru i radości, że cały pokryty białym kobiercem świat, śmiał się do nich. Śmiał się siarczysty mróz, szczypiąc ich buziaki, malując „gile" na nosach, śmiał się wesoło wiatr, gwiżdżąc najskoczniejsze oberki, śmiało się niebo modre i malownicze szczyty Beskidów.

Ponieważ droga znikła im z oczów musiały dalszą wędrówkę odbywać naprzełaj przez pola. Niestety piękno przyrody pochłonęło dziewczynki całkowicie. Zapomniały zupełnie, że pod śnieżną płaszczyzną, kryją się nieraz rowy i doły. — Biada nieświadomym!

Nagle stłumiony krzyk . . . potem śmiech i wołanie o pomoc. To najmłodsza z uczestniczek wycieczki Zonia wpadła nosem w jakąś otchłań. Za nią pani Alinka i Marysia wpadły po pas. — Widok był tak wspaniały, że parę stojących po kostki w śniegu, nie mogło im iść na pomoc, tylko śmiało się do rozpuku. —

Ale trzeba ruszać dalej!

Potem już coraz gęstsze upadki i borykanie się z śniegiem trochę wszystkie

Złote myśli.

Nikt nie zaprzecza istnieniu Boga, chyba ten dla którego jest wygodnem aby Go nie było.

Św. Augustyn.

zmęczyło. Droga stawała się nieznośna, humory się popsuły, miny się wydłużyły w nieskończoność, a przed chwilą roześmiany świat . . . sposępniał.

O biedny Amundsenie ! Chociaż zaspy i mróz beskidzki niezbyt mogą się równać z Biegunem Półn., ale w tej tragicznej sytuacji zdawało się im, że są przynajmniej w pobliżu bieguna i gorąco współczuły wielkiemu podróżnikowi. — Ubranie miały przemoknięte i takie ciężkie, bo pokryte warstwą lodową. Brr. . . takie straszne zimno! powtarza ciągle Jaśka. W milczeniu dobrnęły do lasu, ale i tam nie była lepsza droga. Zdawało się im, że końca nie będzie podróży. Głucha pustka boru przejmowała zgrozą i nawet pani Alinka zaczęła okazywać zmęczenie. Kiedy nareszcie drzewa stawały się coraz rzadsze, można było zobaczyć w oddali schronisko. —

Nowa energja wróciła w wymęczone nogi i otucha w serca. —
Na chwilę zapomniały o zimie i z entuzjazmem witały schronisko.
Zabawiwszy się trochę — ruszyły z powrotem.

Zmierzch zapadł.
Powrotną drogę odbyły szosą, bo chociaż była dłuższa, ale mogły wracać bez przeszkody i bez obawy utonięcia w zaspach śnieżnych.

Jedna z nich Jaśka ciągle narzekała na zimno i rzeczywiście była zmarznięta jak sopla lodu, więc niepomna regulaminu, wysunęła się naprzód i szła prawdziwym żołnierskim krokiem. Ale trudno się rozgrzać skoro mróz siedzi w szpiku kości. Nie słuchała nawoływań towarzyszek, nic ją nie obchodziło — ani nawet pani Alinka — ani piękny pyzaty księżyc. Wiedziała tylko, że jej zimno. Po chwili dopędziła ją Ola i zaczęła przywoływać do porządku — a zdala dobiegł głos Marysi: Jaśka czekaj ! Przecież pani Alinka nie może tak lecieć a samej nie wypada. Hop ! hop Jaśka ! . — Zęby jej dzwoniły jak w febrze i zdołała tylko wyjąkać : A mą-d-raś ! B-bę-d-da się b-b-a-wiła w Wwe-r-ssal ! a krechy p-pójd-dą w g-gó-r-rę i zapalenie płuc gotowe ! Widocznie krechy były dostatecznym argumentem, bo Ola przyłączyła się do Janki i razem popędziły dalej.

Im tylko 4 km . , . trzy . . . już widać i Uzdrojowisko !. Co za radosne uczucie! Koniec nużącej wycieczki, i z pewnością podobnego uczucia doznali piloci po wylądowaniu na drugi brzeg Atlantyku . —

Gimn. żeńskie

Ściana.

Pierwsza zimowa wyprawa na poł. ścianę Zamarłej Turni.

Uzbrojeni w kilkadziesiąt metrów liny, haki, młotki i raki, zdążamy na nartach dnem Doliny, po Stawie, do Pustej Dolinki. Na wesoło: różne tematy, kawały, wspomnienia wspólnych wypraw skracają nam czas mieszania nartami śniegu, który miljardami świateł seliniejakich roziskrzył się w Dolinie.

— Będzie dłubanie w lodzie, ale musi puścić ! pado jeden

— Musi ! pado drugi

— Coby nie puściło ! pado trzeci

Godzina 9^{10}. Wiążemy się pod ścianą, którą mamy „zrobić“ dzisiaj, w trójkę: Witold R. Stefan K. i ja

„Komu w drogę, temu czas“
Poprawiamy raki, sprawdzamy węzły na linach.

Złote myśli.

Kto się wiele namyśla zwykle robi mało.

Schiller.

W. idzie jako pierwszy; klnie z miejsca, że oblodzone stopnie i chwyty. Wepchał się w najbardziej zach. rysę, pionową niemal, od ręki lewej ku prawej, lekko skośnie biegnącą. Chowa się za pierwszą kulisę; słyszymy jak ciupie młotkiem w lodzie, względnie wsadza weń żelazo i znów idzie. Lina powoli rozwija się z kłębka.— Wreszcie sapanie nad nami ustaje.

Wiele metrów liny? — rzuca z pod nieba pytanie

— Dwa — odpowiadam

— To źle! — Pchaj się!

Mozolnie, ostrożnie, jak kot, korzystając z dziur przez W. w lodzie wydłubanych, zrazu dość łatwo idę w górę. Upał zda się być lipcowy, blask od śniegu i skały —wdziewam zielone okulary; jeszcze gorzej, bo zachodzą mgłą.

Rysa, którą szedł W. staje się coraz bardziej „nieznośna" palce u rąk aż bolą od trzymania ciężaru. Wreszcie, spocony i zasapany dochodzę do W. siedzącego na malutkiej płasieńce, jaką jest zakończona grzędka naszej rysy. Na szczęście płasieńka jest bez śniegu.

— Stefan?! podź!

Po 15. min. wyłania się spocona słonkiem i wiatrami twarz Stefana i tak w trójkę, jak w jaskółczem gnieździe, cupiemy na skale o powierzchnii max. 2 m^2, lekko w urwisko nachylonej.

— Wiesz co? — powiada Witold — znasz drogę z lata, lepiej się umiesz do ściany przyczepić niż ja; idź ty pierwszy.

— Może na zmianę?

— Nie — idź ty, tak będzie nolepiej.

Cóż robić? Stefan samo tak. Pcham się tedy jako pierwszy.

Z miejsca pionowy, w połowie zaklinowany (w lecie) głazem, kominek, oblodzony na politurę. Zapycham się stopami i grzbietem, to znów oboma stopami, ale czuję coraz bardziej, że mięśnie zaczynają mi „grać". Wbijam hak w lód, sprawdzam, zakładam karabinek: odpoczywam, patrząc na kamratów, do ściany 10 m. poniżej przylepionych.

A teraz nadchodzi najgorsze w kominie: głaz. Jak go „ocyganić"? Szukam, oglądam, czy przypadkiem niema gdzie „suchego" chwytu. Niema! Dłubię nożem w lodzie: powoli, wisząc zupełnie swobodnie w powietrzu na rękach — jak na tramie — wciągam się na mój głaz. Kamień puścił; reszta komina względnie, łatwa: zapychaniem się wyłażę na samą górę i na lewo na wąziutki, kilkucentymetrowy gzymsik — i hak.

Z dołu melduje mi jeszcze trzy metry liny. Rozglądam się. Jest: lekkie pęknięcie pod rdzawemi plamami, „letnia droga", dość możliwe. Niem skośnie w prawo, do góry i ląduję na małej załupie skalnej, wygodnej do stania. Hak i drę się na Stefana, by szedł. Asekuruję go na haku, ściągam lekko linę. Wreszcie jest, o jakiś czas potem i Witold z wyjętemi hakami, które wędrują na mój pasek.



Zamarła Turnia, grań zachodnia.
Fot. P. Zawita.

Dolny trawers: sześć metrów z niewyraźnemi stopieńkami, w szalonej ekspozycji, ponad olbrzymiemi przewieszkami, jakiemi urywa się nasza ściana do Pustej Dolinki.

Biję żelazo w ścianę, gra Pusta Dolinka niemiłym zgrzytem.

Poprawiam stopnie t. zn. wybijam lód i cały przylepiony do skały idę poziomo, prze-

Złote myśli.
Są ludzie, którzy myślą ściśle
I nawet głupstwa robią po namyśle.
Byron.

wijam się przez rodzaj grządki, sterczącej w masywie ściany, do żlebku niemal bez chwytów, bo skrupulatnie lodem pokrytych. Znów mozolna dłubanina, hak i w efekcie dwa metry wzniesienia.

Co się tam tak bawisz? — drze się Witold.

— Zobaczysz, gdy będziesz, a teraz siedź cicho i pilnuj liny, bo się może zaciąć!

Znów kilka metrów i żlebik, który najwłaściwiej kominem się nazwać powinno. Żlebik w górnej partji przewieszony; wciągam się jak na okap dachu, hak i melduję W., by szedł.

Cały trawers z wspomnianym żlebkiem i przewieszką, zajął nam dwie godziny czasu — efekt pozytywny 10. m wzniesienia! Patrzę na zegarek: 14^{00}, czyli od chwili wiązania się pod ścianą pięć — niemal — bitych godzin i $^{1}/_{3}$ zaledwie ściany. Trochę gorzej!

Omawiana przewieszka przechodzi w płytę ok. 80^{0} nachyloną nie bez chwytów i stopni, ale — jak było do przewidzenia — skrzętnie w lodzie schowanych. Zgrzypi nóż w twardziźnie lodu, gra młotek w Dolińce, posłuszne żelazo wchodzi do szczeliny.

Pcham się moją płytą w górę, powoli, z matematycznem niemal obliczeniem kroku, z lekkiem odchyleniem w lewo, do piorunem odłupanych bloków skalnych, po których białe na szarzyźnie skały świecą plamy. Te myślę: od nich wlewo, popod drugą kondegnację przewieszek, rysę z lewej strony i na nie. Obliczenia się zgadzają, prawie mam się zabrać do rysy, a tu Stefan melduje mi: „Koniec liny" Słów kilkoro, o nieparlamentarnem brzmieniu wyrwał się z mojej gardzieli. Co robić? ani stać ani nic? Wbijam przeto w ścianę żelazo, asekuruję się karabinkiem na linie: i „chodź" krzyczę.

W niepewnej i niewygodnej pozycji czekam na towarzysza.

Przyszedł wreszcie ze słowami podobnemi do moich, gdy mi koniec liny zameldował.

Rzeke:

Ostań tû bo biêda we dwok tû ûstać, pûdem dalêj rysom, ponad przewieski, ûzdajom Kasi, cosi i wte krziknies na Witolda, by şeł.

Sam zaś wbijam pazdur w lód, bo określenie „w ścianę" byłoby kłamstwem, wyłażę ponad przewieszki na wąziutką, maksimum 5 cm szeroką listewkę lekko skośnie w lewo biegnącą — aż się w głowie kręci, a nogi kiełają bo „politura". Biję przeto żelazo w ścianę, co się da i co wlezie.

— Ile metrów liny?

— Pięć!

Wsam raz! Listewkę do — znanej z lata — w górnej partji przewieszonej, „trojga osób śmierci winnej" rysy

Kukam na zegarek: 16^{30}. Zupełnie źle. Nie mamy ciepłych części naszej odzieży, a nocleg na ścianie w 90 % pewny. Rysa nie puści lekko, sporo zje nam czasu.

Gra Pusta Dolinka moim młotkiem, hak włazi w ścianę przezornie zakładam karabinek i do góry! niema co się zastanawiać. Figluję z lodem w szczelinach. smutnie jego kruszyny lecą w chłodne urwisko.

— A na dole cień nocy lizać już zaczyna śpiące pod śniegiem stawy, grzeje jeszcze słonko w urwiskach Koziego, w Gładkim, poziomą smugą z za Gładkiej złocą się jego promienie nad Doliną rozweselając zimnicę ścian w Miedzianem.

Rysa z bardzo stromej i bardzo trudnej staje się pionowa i nadzwyczaj, niemal skrajnie trudna.

Mozolnie, ostrożnie „biorę" chwyt: tak centymetr po centymetrze aż wreszcie moja rysa przewiesza się. Okap dachu. Położenie zgoła fatalne Zwracam uwagę kamratom na asekurację, bom niemal wyczerpany i jest źle: niema do czego wbić paznokci

Igram scyzorykiem, cóż? za płytko, chwytają tylko poduszki palców. Chwytam młotek: hak w ścianę: hak do garści i hakiem poprostu wybijam dziurę w lodzie. Pomaga. Jedna noga i jedna ręka w rysie, człek w szalonej ekspozycji pcha się do góry. Ręce mdleją zmordowane mięśnie odmawiają posłuszeństwa Jeszcze chwilę, ostatni — jak mówią ponumerowani zawodnicy — zryw

---

Złote myśli.

Oznaką wielkiej doskonałości, jest umieć znosić niedoskonałości innych.

X.

i fatalna rysa puściła.

Spocony, zmordowany siadam na półce nad rysą i gapię się szklannym wzrokiem w nieskończoność.

— Hej! Słyszysz? Co jest z tobą — wołają na dole.

To mnie ocuciło. „Pchać się“ Krzyczę, a jak nie dasz rady, wyciągnę jak zająca, tylko się trzim, bo odpycha od siebie.

Słyszę, jak obaj coś mamrocą, wreszcie Witold oznajmia, że idzie. Powiada przytem, że zmarzł na sęka, zgrabiałe palce nie dają gwarancji utrzymania ciała.

— Zaraz ci będzie gorąco — powiadam. Zachęcam, pomagam, wreszcie każę się mu zatrzymać. Owijam liną garść, poprawiam się i oznajmiam, by szedł

Szamoce się z rysą. Wreszcie chrapliwy, śmiertelną nasiąknięty trwogą głos rozdarł ciszę Pustej Dolinki:

— Lecę!

Uchwyciłem mocniej linę; zaparłem się. Lina się napięła, lecz nie „puściła“, czyli, że: Witold cały. Trwało to ułamek sekundy, zdawało; się wiecznością.

Wyciągam go, jak worek z ziemniakami, drży na całem ciele.

— Tû! — padom — ciągnąć Stefana, a nie figû fagû, bedzie mi się bawił w osikę ślopytka jeden! Bierz się do roboty, bom — dla odmiany — jo sęk tû przi wos.

Uspokoił się nieco. Podaje więc Stefano wi „Bahn frei“.

Poszło mu znacznie lepiej niż biednemu Witoldowi, ale tymczasem na naszej ścianie zrobiło się ciemno. Półka, na której siedzieliśmy jest niemal ostatnim ryglem, ostatniemi drzwiami naszej ściany, ale po ćmoku nie myślę ryzykować „Górnego trawersu“, więc decyduję nocleg na ścianie.

Sprawdzamy prowiant: Trzy cukierki i tabliczka czekolady — fatalnie! Wbijam jeszcze dwa haki, poprawiamy węzły na linach, „zajmujemy miejsca“ i straszymy świat że zaśniemy.

Opowiadamy — tak dla rozgrzania się, bo każdy dygoce febrą — o ciepłej herbacie — (— z cytryną!.)

Nad Krzywaniem kończy gorzeć zorza zgasłego słonka.

Oczy kleją się snem.

* * *

Wreszcie

Czują, jak umnie ktoś wali poduszkę i w niebogłosy krzyczy:

Ślazuj s pościele! Dokąd myślisz spać?! Piekny śnieg na polu! Ślazuj!

* * *

Tak się skończyła I. zimowa wyprawa na Pol. ścianę Zamarłej Turni.

* * *

Ale się na mnie nie gniewacie?

SchroniskoT. T. pod Turbaczm IV. 1933.

(—)Gazda.

Złote myśli.

Bo w życiu choć ta jedność, że rozkaz z cierpieniem
Trud, nuda, wstyd i słowa kończą się znużeniem.

Malczewski.

Najczystsza dama: gdy sami w potrzebie
Nic nie żądajmy, od świata dla siebie.

A. Asnyk.

Klasa VI b za 1000 lat.

(Dokończenie)

Stop! Nieznane wyrazy!

— Co to było radjo?

— Było to coś w rodzaju naszego „słyszałka-widziałka", tylko, że tam się tylko widziało, podczas, gdy my i słyszymy i widzimy.

— A tango?

— W słowniku jest ... tango — dawny taniec, przypominający taniec murzyński.

— Tak! Obecnie niema tanga, ale są tanki i tankietki.

— Drzewo, to coś w rodzaju naszego „drew-nogiętka". Obecnie jak sami wiecie nie wyrabia się stołków, ani z drzewa, ani z drewnogiętka, ale ze stali. A ile wynosi ciężar gatunkowy stali?.

— 0, 5 g.

— Stal jest wyrabiana pod ogromnem ciśnieniem, w atmosferze różnych gazów, przez co jest lekką. Ale czytaj dalej ...

— Wzięła do ręki najświeższy numer „Expressu" i poczęła czytać:

Mussolini zdobywa Addis Adebę

Dziś rano armja włoska pod dowództwem samego Duce wkroczyła do Addis—Adeby.

— Dość! „Express" to ulotka. Uczycie się, że w XX w. publicystyka stanęła u szczytu rozwoju. — Mussolini czyli Duce, armja włoska to postacie mityczne. Addis—Adeba znajdowała się prawdopodobnie tam, gdzie obecnie nasz Prajdołek. Dalej!...

— Miljony murzynów witały wybawiciela.

— Co to był miljon?

— To liczba. Według dzisiejszych miar wielkości jest 1000na częścią polymiljona.

— Ktoś puka panie „psorze".

Wchodzi stróż.

— Kurenda panie profesorze.

— Uwaga! Słuchać tam.

Dziś po południu o godzinie 3, odbędzie się lot rakietą na Wenus, Księżyc i Plutona. Podróż będzie trwała 1 godzinę. Ceny biletów: 25 i 50 miligroszy. Ze względu na charakter naukowy lotu, dyrekcja zachęca młodzież do wzięcia w nim udziału.

— Ze swej strony także zachęcam was. Będziecie mogli oglądać na Plutonie nowy okaz człowieka: Olbrzym wysoki na 4 m. No ale czytamy dalej! Co to? już dzwonek?

— Tak! Nie już, lecz nareszcie!

— No więc dotąd. Przyjemnej zabawy na księżycu.

— Dowidzenia!

— Dowidzenia!

„Ananas 13."

Pieśń drużyny „Dzieci Gór"

Mknie stado młodych orląt,
Próbuje swoich piór,
To na wyprawę rusza
Drużyna „Dzieci Gór."

Gdzie w pianach ryczy potok,
Gdzie turni sterczy zrąb,
Gdzie w bezdeń spływa mroczną
Przepaści czarnych głąb.

Tam gdzie z wichrami wiodą
Swój taniec kłęby chmur,
Tam mknie próbować skrzydeł
Drużyna „Dzieci Gór."

Ni wiatrów dziki poświst,
Ni granitowy głaz,
Ni szalejąca woda,
Nic nie ustraszy nas.

Nie wstrzyma w biegu burza,
Ni hurkoczący grzmot,
By poznać swoje siły
Podniebny wszczęlim lot!

Patrz jak w kotlinie nisko
Jeziora błyszczy toń,
Ludzkiego głosu echo
Już nie doleci doń.

I tylko się tam mieni,
I cudną barwą lśni,
Jak raje utracone
Minionych szczęścia dni. . .

Patrz jak czernieją lasy
Wśród szmaragdowych hal,
A niżej pól rozległych
Bezkreśna mgli się dal. .

W dole została troska
I znój o byt i chleb,
Nas śniegiem przysypany
Ku niebu wiedzie żleb!

Nas wabią krzesanice,
I groźnych urwisk perć,
I ciemna, głucha otchłań
Gdzie na dnie czycha śmierć.

Nie boim się przepaści
I prostopadłych skał,
Bo Bóg nam orle skrzydła
I śmiałą duszę dał!

Podniebny lot zaczyna,
Próbuje swoich piór,
Harcerska mknie drużyna,
Drużyna „Dzieci Gór!"

O. S.

Dział ROZRYWEK UMYSŁOWYCH

1 Szarada

2 Zadanie Rachunkowe

pkt. 4

Powiedz no czytelniku - gimnazjalisto jak wielką jest liczba, która będąc pomnożona przez 3, następnie powiększona o 3/4 tego iloczynu, podzielona przez 7 zmniejszona o 1/3 ilorazu, pomnożona sama przez siebie, zmniejszona o 52, po wyciągnięciu pierwiastka drugiego stopnia po dodaniu 8 i podzieleniu przez 10 da w rezultacie 2 ?

Złote myśli.

Możesz należeć do opozycji możesz nawet krytykować, nie zapomnij jednak krzyczeć „niech żyje król"

Wiktor Hugo.

3 Konikówka

Uł. S. M. pkt.:

	ono	ogień	gór	ciel	
li	te	ja	ta	nie	wiecz.
przy	not	da	my	nie	szo
wo	spa	gi	klei	skarb	za
dzo	nie	cno	bie	gi	wy
	rze	nie	drze	ta	

1 Szarada

Uł. K. M. pkt. 3.

Pierwsze, gdy kto coś posiada
to jest jego i tem włada.
Pierwsze - trzecie niespodzianie
w śnie przed tobą nagle stanie.
Gdy znasz gramatykę wszędzie,
drugie jest w przysłówków rzędzie.
Nie poluj na drugie - trzecie,
bo wyginą w lasach przecie.
Całość, przymus dla uczniaka,
chciałby przed nią dać drapaka.
Kiedy wspomnę, że jest bliska,
to aż mi się serce ściska.

Rozwiązani konkursu. „Rozrywek Umysłowych“

Konkurs dobiegł do końca i przyniósł, nadspodziewany wynik: taką mnogość rozwiązań że trudno było dać sobie z niemi radę. Przeto za udział dziękujemy i prosimy o dalszą współpracę.

Wynik przedstawia się następująco: Kuczek M — 41 pkt., Stachyza M — 40 pkt, Sawczuk S. — 20 pkt., Wałek W — 17, Zmaza — 12 „Zanka P“ — 7, Druciak W — 6, Horkowicz — 6, Siwiński M — 3 pkt. i inni.

Nagrody w postaci książek otrzymali ci, którzy mają największą ilość punktów.

Następny konkurs rozpoczyna się z tym numerem i kończy z tym rokiem, są nowe nagrody — trzeba się ubiegać o nie a może coś zyskasz.

*) A mianowicie: kol. Kuczek kl.vlll b. powieść Żuławskiego: „Zwycięsca“ kol. Stachyra kl. Vll a: Wyspiański; „Kazimierz Wielki“.

Humor.

— Mamusiu, co to znaczy „antypoda“?
— Antypoda to człowiek drugiej półkóli ziemskiej, który kładzie się spać wtedy, kiedy my wstajemy.
Ach... To znaczy, że tatuś nasz jest „antypodą“

Rozwiązania z Nr 3

1. Szarada: Gramatyka.
2. Bilety wizytowe: abiturjent, redaktor, studentka, prezes.
3. Uzupełniarka: Nad poziomy, Nowa, Alba, Dola, Para, Olza, Zola, Irka, Orka, Mewa, Andy.
4. **Sylabówka**:
Im kto dłużej czeka nagrody, ten większą weźmie.
5. **Arytmograf.**
Ludzie dobrzy sądzą, zaczynając od dobrej strony
6. **Logogryf.** Stanisław Staszic, Sahara, Targowica, Algier, Mazuszewicz, Iglica, Siarka, Łuna, Amonjak, Wezuwjusz, Saara, Toga, Azot, Suez, Zan, Islam. Czara.

Od Redakcji:

Zawiadamiamy Koleżanki i Kolegów, że pisemko „Nad Poziomy“ staje się pisemkiem międzyszkolnem, gdyż do współudziału przystąpiło gimnazjum oświęcimskie, dlatego numer w lutym będzie już numerem „gimnazjum chrzanowskiego i gimnazjum oświęcimskiego„.

Na zarzut niektórych Koleżanek i Kolegów że pisemko jest „tandetne“ odpowiadamy słowami Kornela Makuszyńskiego: „Nie rzucać pereł między wieprze„.

Redakcja zwalnia na własną prośbę kolegę Deca zaznaczając, że traci w nim cennego współpracownika, oraz prosi koleżanki: Batkównę i Lisiecką, aby wreszcie zajęły się sprawami redakcji.

Odpowiedzi Redakcji:

Ski. i Sp. Artykuł jako niezawierający zbyt ciekawej treści ani dowcipu — nie przyjęty.
Proszę nad nim popracować.

Łysakowska Zofja. Nowela, i Najwierniejsze Serce zupełnie dobra. Zamieścimy w pisemku następnem gdyż w tem mamy już dłuższy obrazek, a miejsce jest ograniczone.

F. F. Artykuł jako traktujący o wycieczce pójdzie dopiero w następnych numerach, po skończeniu cyklu „Od Bałtyku do Morza Czarnego“. Prosimy o zdjęcie do tego artykułu.

Tosiek. „Lekcja fizyki niepójdzie.

To...k Odpowiedź na artykuł „Od śledzia do poezji“ traktuje rzecz zbyt chaotycznie.
Prosimy artykuł poprawić.

— Tatusiu, co to znaczy „uprzejmość“?
— Uprzejmość jest wtedy, jeżeli mówisz ludziom coś wręcz odmiennego, niż o nich myślisz.

KOMITET REDAKCYJNY: Batkówna K. Chełczyński T. Czerwonka J. Drbout Z. Kogutówna J. Lisiecka M. Proskowiecka J. Mokrosz E.

Czcionkami Polskiej Drukarni Przemysłowej w Jaworznie.